Nr. 3. Lwów, dnia 1. lutego 1907. Rok XXX.



Wpisowe do Towarz. (jednarazowe) 4 korony.
Wkładka roczna członka 10 koron = 10 marek = 5 rubli.

ŁOWIEC

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.
Adres i bliższe wskazówki — patrz okładka inseratowa „Łowca".

OKÓLNIK.

Zwracamy się ponownie do P. T. władz oraz naszych członków i delegatów z uprzejmą prośbą, by zwracali baczną uwagę na prawidłowe wykonywanie handlu zwierzyną i przypominamy, że kuropatw począwszy od dnia 14. grudnia sprzedawać w składach, targowicach, restauracyach lub w jakikolwiek inny sposób nie wolno.

ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI.

Wspomnienia ze Smorza.

(Ciąg dalszy).

Kolacyę jedliśmy przy akompaniamencie jeleni ryczących naokoło Ozera. — Prawdziwy dach nad głową, prawdziwe łóżko i prawdziwe stoły i ławki, miłe towarzystwo kolegów po broni, których zastałem na Ozerze, wreszcie kuchnia „Jejmościuni", składały się na stworzenie prawdziwej Kapuy w porównaniu z moim trzydniowym pobytem w gonciarskiej budzie o chłodzie i głodzie na Iwaszkowcu. To też korzystając z dobrodziejstw tego wyrafinowanego komfortu, śniłem słodko w mojem gnieździe, gdy niemiłosierny budzik łowczego, przerwał mi błogie marzenia. Dochodziła druga rano. Około pół do trzeciej

przestępowałem już próg naszego domku, dążąc ku nieznanemu rewirowi i zakrytej przyszłości.

Jako przewodnika dostałem gajowego, słynnego wabiciela jarząbków, który na moje zapytanie, czy umie wabić, odpowiedział z oburzeniem:

„Proszu Pana, ja szcze lipsze znaju wabyty, jak orjabok“.

Tuż za domkiem rozpoczynała się parę set kroków długa droga przez torfowiska, kładziona z okrąglaków jodłowych. Spacer po tych wałkach, pokrytych szronem i ślizkich jak szkło, był możliwym tylko na rakach, (Steigeisen) przytwierdzonych do obuwia. W wielu miejscach, brakujące lub spróchniałe wałki groziły niemiłemi niespodziankami; to też przy świetle latarki, macając drogę przed sobą długim kijem, postępowaliśmy naprzód powoli. Skończyły się wałki i doznałem uczucia, że stąpam po dywanie: weszliśmy na suche torfowisko, uginające się i elastyczne, jak dobry materac. Lecz i tu były zdradliwe miejsca, przez które przekradać się trzeba było po jakiejś położonej deszczułce, a często po jednej tylko żerdce. Zboczenie z takiej żerdki, a noga grzęzła powyżej kolan w czekoladowym torfie. Po całym szeregu takich kładek i żerdek doszliśmy wreszcie do głębokiego potoka. Ciemno było zupełnie. W dole szemrała woda swoją odwieczną piosenkę, naokoło ryczało kilka jeleni. Na jaśniejszem tle nieba odcinały się pojedyncze szczyty. Petro objaśniał mię pocichu: „Przed nami Bukowynysta, na lewo Kontrowers, na prawo Imszad“. Dzisiejszy poranek chciałem poświęcić na obeznanie się z rewirem, z pierwszym więc brzaskiem rozpocząłem moje geograficzne badania i około $^1/_2$ do 11-tej wróciłem na Ozero, wprawdzie bez jelenia, ale z gotowym planem sytuacyjnym w głowie i z pewnością, że w oddanym mi rewirze jest jeleni w ogóle dużo, a między nimi kilka lepszych. Spotkałem także niedawne tropy niewielkiego niedźwiedzia i porozwalane przez niego pnie, a jarząbków i słonek było na każdym kroku takie mnóstwo, że o takich ilościach nie miałem wyobrażenia. U wstępu na Ozero burknęło z dołu po wybranym torfie stadko cyranek, a tuż za niemi zerwał się mój dobry i dawny znajomy, kszyk. Obecność tego błotnego ptactwa wśród lasu i na tej wysokości, była dla mnie prawdziwą niespodzianką. Rewir mój był bardzo łatwym do oryentacyi.

Srodkiem przepływał główny potok, którego wschodnie stoki docierały w górze do równoległej z nim granicy zrębów gmin Matków i Mochnate, zachodnie zamknięte były między nim, a drogą wiodącą z Ozera ku Doboszówce. Przestrzeń ogromna i nieprzystępna, złożona z samych gąszczów, zawałów, błot i w ogóle co tylko Smorze miało najwyszukańszego, coby mogło utrudniać podchodzenie jelenia, to znajdowało się w stanie skondensowanym w moim rewirze. Obydwa te stoki porznięte były licznymi, bocznymi potokami, staremi ryzami, zawalone kłodami i kamieniami, a odwieczne ożyny broniły wstępu śmiałkowi, któryby choć na cal chciał zejść z dróżki, wiodącej samem łożyskiem głównego potoka. Dróżka ta, tak zwane „Mosty“, aczkolwiek nie dorównywała różnym powiatowym drogom wschodnio-galicyjskim, miała także swoje piękne strony. Na nią wychodziły wyloty wszystkich bocznych potoków i przerywały ją kilka lub kilkanaście metrów głębokiemi przepaściami, ponad któremi wiodły kładki bez poręczy lub mosty, z których tylko legary wisiały w powietrzu. A potem wszystkiem trzeba było chodzić w nocy z latarką wśród ślizgawicy, przymrozków rannych. Górna ścieżka graniczna była jeszcze gorszą; nie było tu wprawdzie przepaści i karkołomnych kładek, lecz zato setki kłód i wierzchów ze świeżych zrębów Matkowa i Mochnatego zawalały ją w poprzek i broniły przejścia. Sam zaś środek kniei, złożony z ogromnych gąszczów, nie posiadał ścieżek; jeżyły się tam kilkupiętrowe wiatrołomy, na których rosły całe lasy młodników jodłowych i liściastych. Można sobie wyobrazić, czem był spacer wśród tylu przeszkód i wiele szans miały jelenie w stosunku do myśliwego. Wiedziały one dobrze o tem, to też najliczniej trzymały się tych przepaścistych zakątków. Dziś w tej części lasów smorzańskich, zmieniły się stosunki. Wskutek umyślnego korowania buczyny dla zrobienia miejsca świerkowi, knieje te zrzadły, gęsta sieć ścieżek podchodnych przecięła tajemnicze ostoje zwierza, a bezpieczne kładki zajęły miejsce karkołomnych dawnych przepraw. Krótko korzystaliśmy z tych ułatwień. W ostatnich dopiero czasach w obec wzrostu zwierzostanu, zezwolił nasz łowczy na te innowacye.

Popołudniu drugi bezskuteczny spacer wśród ryczących jeleni. W gąszczach po zwalczeniu niewysłowionych trudności przyszedłem o godzinie 4-tej do ryczącego byka na kroków najwyżej 20, ale nic dojrzeć nie mogłem, i po pół godzinie takiego nad wyraz denerwującego postoju, jeleń ucichł i nawet nie słyszałem, co się z nim stało. Wycofałem się więc z powrotem na Mosty. Tu wszystkie błota były rozrobione przez jelenie, śladów i wytarzanych dołów bez liku. Miałem nadzieję, że spotkam się z jakim przechodzącym jeleniem, ale nadzieja zawiodła. Zmierzch już nadchodził i słonki fruwały jak chrabąszcze w maju, ryk odzywał się ze wszystkich kątów, kilka razy słyszałem bliskie łamanie i trącanie rogów o drzewa, ale ani sztuki nie widziałem. Po 7-mej wśród ustawicznego ryku, rozpocząłem odwrót ku domowi. Barometr moich nadziei spadał, te straszne gąszcze wśród których ryczały jeleni, uniemożliwiały wszelkie kombinacye. Liczyć można było tylko na przypadek. Wśród zupełnych ciemności, przy słabem świetle latarki, dowlokłem się zgnębiony do Ozera. W pobliżu już samego domu stanąłem zdziwiony niezwykłym widokiem. Naprzeciw domu w odległości około 2 klm. na wysokościach Hostyłowa, płonęło kilkanaście słupów ognistych. Na czarnem tle nieba, prześlicznie odbijały ogniste kolumny, te w większych rozmiarach „Pochodnie Nerona“. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, co to takiego. Dopiero Petro wyjaśnił, że ktoś podpalił kilkanaście suchych, przed latami okorowanych, buków. Tajemniczy i niezwykły był to widok. Jedne pnie płonęły jeszcze płomieniem, drugie świeciły już tylko jako słupy żaru. Co chwila odrywały się od tych kolumn kawały żarzące i wiatr unosił całe fontanny iskier. Wśród ciemnej nocy zdawało się, że lada chwila wynurzy się z leśnej puszczy orszak siwowłosych Druidów, ażeby przy tych ogniskach dopełnić jakiegoś tajemniczego obrzędu. Długą chwilę wpatrywałem się w tę pożogę, ryczące jelenie przypomniały mi rzeczywistość.

Mroźny ranek 26. września 1901-go roku zastał mnie na górnej granicy mego rewiru.

Liczyłem na spotkanie z jakim jeleniem, powracającym z Matkowskich zrębów w gąszcze Bukowynysty lub Kontrowersu. Na Bukowynystej ryczały pod samym szczytem dwa jelenie, trzeci na Kontrowersie gdzieś nad potokiem, z dalszych rewirów dochodziły głosy kilku byków. Gdy rozedniało, począłem schodzić z Bukowynystej ku Kontrowersowi stokiem bardzo stromym i kamienistym. Żelazne raki dzwoniły po kamieniach, przyspieszałem więc kroku, ażeby te kamienie wyminąć. Wobec tego ha-

łasu nie przypuszczałem nawet, aby mógł być jaki jeleń w pobliżu, gdy wtem w zbitej ścianie gąszczu ujrzałem łeb jelenia, który mi się ciekawie przypatrywał, z odległości 20—30-tu kroków. Był to ósmak lub dziesiątak z dosyć dobrymi rogami, ale nim zdołałem podnieść sztuciec, jeleń znikł w gąszczu. Nie żałowałem go, owszem to spotkanie poprawiło mi humor. O wdzieraniu się w środek gąszczów i mowy nie było, puściłem sie więc na dół ku Mostom potokiem między Bukowynystą a Kontrowersem w nadziei, że przecież tam coś wypatrzę. Doszedłszy do ścieżki mostowej, usłyszałem bardzo wyraźnie częste porykiwania jelenia na Kontrowersie gdzieś w górze, nad zaczątkiem głównego potoka. Jedyną więc ścieżką wzdłuż tego potoka począłem się ku niemu przedzierać. Zapadałem w błocie często po kolana, wspinałem się po kłodach i kamieniach i doszedłem tak do lizawki na Kontrowersie. Jeleń był niedaleko, najwyższa ostrożność była wskazaną. Ścieżka się kończyła, natomiast otworzyła się przedemną jakby ulica, powstała wskutek wywrócenia szeregu drzew przez burzę. Ulica ta pozwalała zajrzeć przed siebie na jakie sto kroków. W jej przedłużeniu znajdywał się, gdzieś niedaleko jeleń. Postępowałem noga za nogą, przełażąc co chwila przez zwały i posuwając się już tylko w chwili, gdy jeleń ryczał, bo wśród łomów nie mogłem się cicho poruszać. Na przebycie tych stu kroków, użyłem pewnie całej godziny i znalazłem się w końcu wobec kilka metrów wysokiej zapory, powstałej z wywrotów, których poplątane gałęzie i korzenie stercząc w górę, tworzyły zasiekę, której ani przeleźć, ani obejść już nie mogłem, nie narażając się na spłoszenie jelenia, ryczącego o kroków najwyżej 40. Wylazłem więc tylko na jedną z kłód i z tego stanowiska mogłem pomiędzy sterczącemi nad zasieką gałęziami obserwować, co się przedemną dzieje. Ulica, którą dotąd szedłem, dążyła dalej w górę, a w miejscu w którem stałem dzieliła się, mając rozgałęzienie, w lewo. W widłach między tymi dwoma wiatrołomami, ryczał, w gąszczu tuż przedemną jeleń. Była godzina 7-ma. Słońce za moimi plecami wybijało się nad lasy i wszystko lśniło w pełnem świetle. Jeleń ryczał niezmordowanie i walił rogami o krzaki. Czasami zdawało mi się, że w zbitym gąszczu dostrzegam, jakieś nie wyraźne kontury, ale pomimo szkieł i bliskości nic pewnego rozróżnić nie mogłem. Wtem na prawo odemnie, trzasnęła sucha gałąź i z przeciwległej ściany wynurzył się łeb szpiczaka z czerwonymi jeszcze od farby rogami; widocznie ledwie dzisiejszego ranka pozbył się ten jeleń scypułu.

Szpiczak ciekawie patrzył w stronę ryczącego jelenia, rozglądał się i wietrzył. W jaskrawem oświetleniu widziałem całą grę jego nozdrzy i oczu. Wysunął się cały z gąszczu, był zupełnie czerwony, jak rogacz w lecie i bardzo mi figurą i ruchami rogacza przypominał. Łamanie powtórzyło się. W tem samem miejscu ukazał się szóstak jeden, a za nim drugi. Zajmującem było widzieć, jak następujący jeleń naśladował we wszystkiem swem poprzednika; w tem samem miejscu przystawał, tak samo wietrzył, tak samo się rozglądał, wreszcie wysunęły się wszystkie trzy na czyste.

Obydwa szóstaki stały tak jeden za drugim, jak dwa konie wprzągnięte do wozu; jedną kulą można było obydwa przewiercić. Ci trzej przybysze zbliżali się powoli i z widocznym namysłem do gąszczu, w którym jeleń z zdwojoną teraz energią ryczał. Stałem ze sztućcem gotowym, przypuszczając, że lada chwila wypadnie i rozgoni nieproszonych gości. I rzeczywiście; z wyzywającym, urywanym rykiem jeleń ruszył do ataku. Załomotało, jakby się las walił, zachwiały się krajne krzaki, pokazała się nawet część wieńca jelenia, ale on sam cofnął się, nie ukazawszy ani cala kwadratowego swej skóry, w którymby można było kulę umieścić. Nieproszeni weselni goście, byli już za dziesiątą górą. Jeleń ryczał teraz mniej zawzięcie, widocznie jednak był zaniepokojony, bo ciągle go słyszałem, jak deptał i łamał. Trwało to dobrą chwilę; wreszcie zdawało mi się, że jeleń samym krajem ponad wiatrołom oddala się ku dołowi. Pewny byłem, że już wszystko przepadło, gdy wtem ujrzałem go na lewej widle wiatrołomu, stojącego na połeć. Ukryty był cały w malinach, widziałem tylko łeb z rogami i linię grzbietu, dużo białych końców świeciło we wieńcu. Stałem złożony i szukałem tej komory ukrytej w malinach, gdy nagle jeleń obrócił się do mnie na sztych i począł się zbliżać.

Fatalne położenie! Stałem na kłodzie złożony, mając jelenia przed sobą, a strzelać nie mogłem, gdyż w malinach widziałem tylko rogi i część łba jelenia; odjąć sztuciec, było również niebezpiecznem, gdyż jeleń byłby ruch zobaczył i zniknął.

Byk tymczasem zbliżał się do mnie noga za nogą. Wieniec kołysał się nad malinami i zataczał charakterystycznym ruchem. Trwało to wieki, a ręce trętwiały. Widziałem, wyraźnie, jak jeleń spogląda wprost ku mnie, widziałem również, jak koniec mojej lufy opisuje ósemki. O strzale w tej chwili mowy być nie mogło, pudło pewne. Wtem jeleń znikł, jakby się zapadł w ziemię. Nie zastanawiając się nad przyczyną, odjąłem czemprędzej sztuciec od twarzy i z prawdziwą rozkoszą dałem folgę znużonym ramionom. Sytuacya zmieniła się zupełnie. Między mną a jeleniem była widocznie w poprzek wiatrołomu jakaś mała deberka, o której nie wiedziałem. Jeleń znajdował się wciąż przedemną, bo ryk słyszałem, groziła jednak ta ewentualność, że tą deberką jeleń pójdzie ku dołowi, i że go więcej nie ujrzę. O podchodzeniu bliższem i mowy nie było, tak byłem w koło zwałami otoczony. Robiłem sobie gorżkie wyrzuty, gdyż z własnej winy popsułem spotkanie. Trzeba było strzelać, gdy jeleń stał o kroków 70 w malinach na połeć, trzeba było strzelać, gdy na 50 kroków widziałem łeb jego na sztych przed sobą. Teraz przepadło! Stoję jak w klatce, a jeleń lada chwila pójdzie i przepadnie dla mnie, jak igła w stercie siana.

Nic już tu naprawić nie mogłem. Stałem więc na mojej kłodzie nieruchomo, bo dopóki jeleń przedemną rycza tlały choć resztki nadziei.

Wtem z malin ukazały się białe końce wieńca. Złożyłem się w tej chwili, bo nauczony poprzedniem doświadczeniem, postanowiłem strzelać, gdy tylko ujrzę kawałek łba wielkości dłoni. Jeleń stękał i pomrukiwał, wieniec wyrastał z tej deberki zupełnie w sposób, jak wyrastają macadełka ślimaka, trzymanego w ręku. Mimowoli robiłem w myśli to porównanie. Wynurzyły się grube końcowe widły, potem kilka jakichś dziwacznych gałęzi i nagle wieniec się cofnął. Ujrzałem natomiast nozdrza i rozwarty do ryku pysk jelenia. Ryknął i znowu postawił rogi, wtedy z śród malin wynurzyła się górna część czoła po oczy. Dłużej już czekać nie mogłem. Sztuciec ponownie chwiać się poczynał. Strzeliłem. Jeleń znikł, jak fata morgana. Nie wiedziałem sam, co się stało. Lecz nie słysząc żadnego łamania, przypuszczałem, że leży na miejscu. Odetchnąłem, włożyłem nowy ładunek do wystrzelonej lufy dubeltowego sztućca (Mannlicher 8·2 mm) i z trudem począłem się z mojej fortecy dobywać. Nie poszło to tak

łatwo. Kwadrans przynajmniej pracowałem wśród zwałów i błota, zanim uszedłszy niespełna 50 kroków, ujrzałem sterczące w górę z malin cztery badyle jelenia. Spieszno mi było, bo teraz dopiero następowała reakcya po tak długiem trzymaniu na wodzy napiętych nerwów.

Wieniec wydawał mi się w chwili strzału jakiś monstrualny, pilno mi go było oglądać. W kałuży rozdeptanego błota leżał jeleń na wznak. Prawy róg był cały zanurzony w błocie, lewy, metrowej długości, normalny róg bardzo silnego ósmaka, opierał się o leżącą tam kłodę. Doznałem zawodu. Ten wieniec inaczej mi się przedstawiał na jeleniu. Pracowałem nad wydobyciem i prawego rogu z błota, lecz uczepiony do tego rogu, jakiś gruby korzeń, trzymał go w błocie, jak hakiem.

Już miałem wziąć się do tasaka, ażeby przeszkadzający korzeń odciąć, gdy podważywszy go patykiem, wyciągnąłem go z uwięzi wraz rogiem. Któż opisze moje zdziwienie? Mniemany korzeń stanowił część integralną wieńca i był prawie trzecią tyką, gdyż prawy róg dzielił się w odległości 10 cm nad różą, na dwa równoległe pnie, z których każdy miał swoje osobne odnogi. Prawy róg miał pięć końców i zaznaczoną odnogę nadoczną i był tak co do kształtu, jak i układu końców wybitną i cenną anormalnością.

Kula siedziała w matematycznym środku czoła między pniami rogów. Śmierć była piorunującą. Nadszedł nareszcie daleko w tyle pozostały Petro. Wyciągneliśmy wspólnemi siłami jelenia na trochę suchsze miejsce i wtedy wyjaśniła się przyczyna anormalności wieńca. Jeleń nie wielki w ciele, popielato żółty, z czarną przez grzbiet pręgą, miał lewy tylny badyl kiedyś dawniej złamany w kolanie i krótszy o jakie 20 cm. od prawego. Kalectwo to powstało zapewne z jakiegoś dawnego postrzału lub przypadkowego złamania i było potwierdzeniem teoryi, że uszkodzenie tylnych badyli wywołuje tak u jelenia jak i u rogacza anormalności w budowie rogów i to zwykle po przeciwnej stronie. To znaczy, że w razie uszkodzenia prawego badyla koszlawieje róg lewy i odwrotnie. Naturalnie, że gotowe i wytarte już ze scypułu rogi nie ulegają zmianie pomimo uszkodzenia badyla, koszlawieją dopiero pierwsze, które wyrastają po wypadku, jakiemu badyl uległ. W różowym humorze wracałem na Ozero; w jeszcze różowszym był Petro. W powrotnej drodze zabiłem dwa koguciki jarząbki z malutkiego cicho strzelającego sztućczyka, który za mną dźwigał Petro. Śniadanie i dobrze zasłużona drzemka. Spałem jak kamień aż do alarmu obiadowego. Po obiedzie miła pogawędka w słońcu przed domem i karmienie chlebem z ręki łaskawego drobiu Jejmościuni. Najczęściej o tej porze fotografował łaskawie Łowczy, żądnych tego towarzyszy wraz z ich zdobyczą. Kilka przepysznych fotografii z tych czasów stanowi dla każdego z nas miłe pamiątki.

Po południu marsz przez mosty i ścieżką między Bukowynystą a Imszadią. W górze przed granicą Matkowa mnóstwo obciorów jelenich. Około godziny czwartej zaczyna się koncert i znowu karkołomne sztuki wśród kłód, błot i kamieni. Mam już dzisiaj jelenia za sobą, spokojniej więc patrzę w przyszłość. Nie taki czarny dyabeł, jak go malują. Manewruję tak aż do zmierzchu po górnej granicy mego rewiru z tym tylko skutkiem, że naliczyłem 5 byków ryczących w moim rewirze. — Ciemno. — Wracam tą samą drogą z zapaloną latarką i pomimo światła wchodzę między dwa ryczące jelenie, z których żaden nie był dalej odemnie jak 20 kroków. Dziwne, jak wśród ciemności dają się jelenie blisko podchodzić. Petro zachęca do pospiechu, ażeby ich przecież nie spłoszyć. Przymrozek czuć się daje, niebo zasiewa się gwiazdami, cały las odzywa się tajemniczymi szmerami. Wychodzimy na torfy i widać już światło na Ozerze. Kolacya i buch do łóżka! Dzień cały 27. września zeszedł mi w bezowocnych usiłowaniach. Z dnia tego mam do zanotowania tylko niefortunny pochód ryczącego jelenia od 2-giej w nocy do 7-mej rano, który się skończył na niczem dzięki ostrożności łań. Byłem już tak blizko strzału, że widziałem koronę prawego rogu jelenia, ale nic więcej. Ten jeleń przyprawił mię o powrót, którego w życiu nie zapomnę. Nie wiem już dlaczego zamiast raków wziąłem rano obuwie z gumowemi podeszwami. Już na kładkach za Ozerem holendrowałem jak najpoprawniej, ale przy pomocy kija ratowałem się jak mogłem. W błocie a zwłaszcza po kamieniach szło się wcale dobrze, w powrotnej jednak drodze czekały mię niespodzianki, o jakich nie miałem wyobrażenia. Podchodząc już jelenia, gdy się rozwidniało, oddałem mój kij Petrowi i poleciłem mu, by szedł za mną w znaczniejszem oddaleniu. Przez dwie godziny byłem ciągle blizko jelenia, który mię wodził za sobą po najniemożliwszym terenie, a gdy jeleń ucichł spłoszony, z Petrunia nie było ani śladu. Kilkakrotne moje hopnięcie pozostało bez odpowiedzi.

Gdzie się znajdowałem, nie miałem wyobrażenia, wiedziałem tylko, że jak zwykle w górach dążyć należy ku dołowi, chcąc się zbliżyć do ludzi. Najkrótszą więc drogą dążąc wprost przed siebie, rozpocząłem odwrót. Dopiero teraz miałem sposobność poznać wszystkie piękne strony wnętrza Bukowynystej. Dopóki szedłem za jeleniem, przeszło niejedno niespostrzeżenie, gdyż cała uwaga była czem innem zajętą. Teraz przeklęte gumy dały mi się dopiero we znaki. Wśród splątanych ożyn jedyna możliwa droga była po leżących kłodach, lecz na pierwszej zaraz leżałem jak długi. Sięgnąłem więc po tasak, ażeby sobie jakiego kija wyrąbać, ale o grozo, tasak został na Ozerze, a memu słabemu scyzorykowi stawiały jarzębowe drągi niezwyciężony opór. Cieńszych lasek w tem miejscu nie było. Na gumach więc i bez kija, wyjąwszy ładunki, trochę idąc, trochę na czworakach, przedzierałem się wprost ku dołowi nie wybierając drogi, bo po prawdzie w tym gąszczu wyboru nie było. Dopełzłem tak wreszcie wśród gąszczów do wydeptanego przesmyku jeleniego i tym już trochę wygodniej postępując, doszedłem do jakiegoś potoka, którego postanowiłem już nie opuszczać, będąc pewnym, że mnie wywiedzie na Mosty. Po kilkudziesięciu krokach napotkałem w tym potoku stare ryzy. Całe koryto wyłożone było pniami, toż samo boki.

Po zmurszałych okrąglakach płynęła woda, a nogi rozlatywały się gorzej jak na lodzie. Wyboru nie było! Za nic w świecie nie chciałem powracać w gąszcze, ślizgając się więc i przewracając, zmoknięty i odarty, lazłem po tych ryzach. Pochód ten, który na rakach byłby dziecinną zabawką, stawał się na gumach, bez kija do tego, prawdziwą torturą.

Ryzy nie zawsze leżały na samem dnie potoka, nad gwałtownymi spadkami przechodziły często po kilkumetrowych kobylnicach, a w wielu miejscach brakowało w pomostach większej części belek. Siadałem tedy na wiszący jeszcze legar jak na konia i w ten sposób się posuwałem.

Z napotkanego olchowego krzaka wyciąłem nareszcie jakiś patyk i przy jego pomocy szedłem już lepiej,

gdy w tem spróchniała belka załamała się podemną i zwisłem na ramionach pomiędzy jej sąsiadkami. Byłem wściekły. Z trudem wydobyłem się z tej szczeliny, opatrzyłem sztuciec czy cały, potem jedną i drugą nogę, jedną i drugą rękę, a widząc, że wszystko trzyma się jeszcze kupy, podziękowałem Bogu, że się na tem skończyło.

Ten wypadek nasunął mi bardzo niewesołe myśli. Coby się stało n. p. gdybym w tym potoku złamał nogę? Dowołać się kogoś byłoby niepodobieństwem. Spojrzałem w górę i w obec wysokości ścian potoka i szumu wody, wątpliwem było nawet, czy usłyszanoby rychło moje alarmowe strzały.

Miałem zresztą wszystkiego sześć ładunków ze sobą. Nie było to uczucie strachu, lecz mimowoli przypominały mi się historye o zagrzebanych żywcem, i zupełnie trzeźwo zastanawiałem się nad tem, że gdybym złamał nogę i nie mógł się wlec dalej, to wszystkich ładunków nie wystrzelałbym na alarm. Wtem przyszła mi myśl prosta, którą już dawno należało wykonać; zdjąłem buty z temi przeklętemi gumami i w pończochach tylko, ostrożnie próbując wytrzymałości belek, omijając je gdzie się dało, dowlokłem się z pokaleczonemi podeszwami około godziny 11-tej do Mostów.

Odarty i zmoknięty, podrapany i potłuczony, dotarłem do Ozera w chwili, gdy już miano obiad podawać. Tu zastałem towarzyszy zaalarmowanych moją nieobecnością, tem bardziej, że Petro już się dowiadywał o mnie. Petra wyprawił Łowczy na powrót do rewiru, a sam zastanawiał się już nad zorganizowaniem ekspedycyi, któraby mnie żywego, czy martwego odnalazła.

Ta wyprawa wykurowała mnie radykalnie z gum, które są dobre na suchym i twardym terenie, tam zaś, gdzie trzeba chodzić po ślizkich kłodach lub szronem pokrytych kładkach i kamieniach, są nie tylko nieprzydatne, ale wprost niebezpieczne. Również na ostrych stokach połonin, gdzie starannie góralską kosą wygolona trawa, jest ślizką jak szkło, albo na pokrytych szpilkami uboczach leśnych, gumy odmawiają zupełnie służby.

Po południu zabiłem jarząbka i podchodziłem tego samego jelenia, który pomimo spłoszenia rannego, ryczał w tem samem miejscu. Brak jednak światła nie pozwolił mi strzelać.

Nazajutrz rano 28. września manewrowałem znowu z moim jeleniem w górze między Bukowynystą a Imszadią. Chodziliśmy ciągle w bliskości siebie, nie mogąc się ujrzeć. Kilka razy łanie nie dozwoliły mi bliżej podchodzić. Tak trwało mniej więcej do godziny 7-mej. O tej porze jeleń ucichł, odezwawszy się po raz ostatni w Imszadi, gdzieś w połowie jej wysokości. Wyczekałem jeszcze dobre pół godziny i przypuszczając, że jeleń ułożył się już na dzienny odpoczynek, puściłem się wydeptaną już przezemnie ścieżką ku domowi i doszedłem do Mostów. Duży, obficie pokryty owocami krzak ożyn zatrzymał mię w moim pochodzie. Zajadałem przepyszne ożyny, gdy słaby ryk, jakby brzęk muchy, doleciał moich uszu. Nie byłem nawet pewny, czy to nie złudzenie, gdyż ciche stęknięcie jelenia, a brzęk blizko przelatującego szerszenia lub trzmiela, często są łudząco do siebie podobne.

Brzęk za chwilę się powtórzył i rozpoznałem już, co to za mucha brzęczy. Mój to od dwóch dni znajomy jeleń, gwoli któremu ledwie nie skręciłem karku, schodził teraz z Imszadi i pomrukiwał sobie z zadowoleniem po drodze. Dobry musiał mieć zapewne ranek i teraz przeżuwał miłe wspomnienia.

Spojrzałem na Petra. Stał rozjaśniony i palcem wskazywał ku Imszadi. Czekaliśmy. Jeleń szedł porykując wprost ku nam, co raz bliżej słychać go było, lada chwila oczekiwaliśmy, że ukaże się na Mostach, przechodząc w Bahońskie. Mija minuta za minutą, jeleń porykiwał, łamał, kręcił się tuż nad samą ścieżką. Wtem zmienił kierunek, począł się od nas oddalać, idąc równolegle do ścieżki mostowej. Posunąłem się i ja tą ścieżką kilkanaście kroków i między podszewką lasu, ujrzałem niewyraźne kontury jelenia. Złożyłem się w tej chwili, lecz równocześnie zaszedł jeleń za gęstszą grupę krzaków i znikł mi z oczu. Chwilę trwała cisza złowroga, już myślałem, że mię spostrzegł lub zwietrzył, lecz ponowne stęknięcie uspokoiło mnie. Za gęstą firanką zieleni załamało raz i drugi, więcej przeczuwałem niż widziałem, że jeleń idzie już teraz wprost na Mosty. Z bronią u twarzy czekałem. Z gęstwiny wynurzyły się nozdrza jelenia, potem błyszczące oko i jedna tyka z śliczną trójdzielną koroną. Patrzył wprost przed siebie, ukryty cały w ścianie zbitego gąszczu. Muszka mego sztućca błyszczała jasno na ciemnem tle jeleniego łba, czekałem na ciąg dalszy, byle tylko krok zrobił, a ujrzę kark, a może i łopatkę. Wtem jeleń zwrócił łeb ku mnie i równocześnie kula opuściła lufę. Cztery nieruchome badyle sterczały w powietrzu.

Z gotowym do strzału sztućcem odliczyłem 96 kroków, dzielących mię od jelenia. Leżał już martwy bez ruchu. Prześliczny dwunastak; długi jak smyk, o mocno rozwartym, lirowatym wieńcu. Niestety na lewej tyce brakowało dwóch odnóg, a to ocznej, złamanej może dopiero dzisiejszego ranka, gdyż miejsce złomu było zupełnie świeże, i odnogi średniej, której jeleń zupełnie nie osadził. Po trzy długie i na biało wytarte końce świeciły w każdej koronie. Rana od kuli czerwieniła prawą skroń tuż nad okiem. Te dwa strzały w łeb do jeleni, nie są systemem do polecenia, owszem unikać ich się powinno, lecz kto, jak ja w ówczesnem Smorzu dysponował ledwie kilku dniami i miał do walczenia z tak strasznymi warunkami terenu, w którym każda nie wyzyskana sekunda przepadała bezpowrotnie, ten ma przynajmniej te okoliczności na swoje usprawiedliwienie.

Wyznaję więc w pokorze te moje grzechy. Strzelałem tak, bo inaczej nie mogłem, kto inaczej byłby na mojem miejscu postąpił, niech rzuci na mnie kamieniem. Wracając przez Bahońskie ku domowi, natknąłem się na prześliczną jelenią sielankę. Jak sznur paciorek, maszerowało ośm sztuk stępo w poprzek polanki.

Stara, ogromna jak żyrafa, łania prowadziła stado, za nią prawie równa i dwoje cielât, dalej, trzecia z jednem cielęciem, w środku zeszłoroczna łańka, stawiająca zapewne pierwsze kroki w tegorocznym jelenim karnawale, tuż za nią postępował byk ósmak ze słabym wieńcem, okazując jej co chwila swoje dobre zamiary, co do których rodzaju nie mogło być żadnej wątpliwości, na samym końcu ostrożnie o jakie 40 kroków w tyle skradał się szpiczak z rogami w scypule. Stado rozeszło się, żerując po polance.

Było to widocznie stado, od którego przed godziną prawowitego władcę odbiłem. Przypuszczenie to opieram na tem, że łanie te wyszły z Bahońskiego, dokąd też podążał zabity przezemnie jeleń. Mimo tego w szeregach pięknej płci jeleniej nie objawiała się najmniejsza żałoba. Łanie oddawały się swoim codziennym zajęciom, młodzież wesoło po polance brykała. Ósmak uganiał się bez skutku za łańką, na co zazdrosnem okiem spoglądała duża, ja-

łowa łania. Od czasu do czasu wpadała między bawiącą się parę; podejrzywałem ją, że nie była bez pewnych zamiarów dla siebie, jednak ósmak nieczułym był na te awanse sędziwej damy i zajętym był wyłącznie małą łańką. Patrzyłem na ten obrazek o kroków najwyżej 50, a do wstrzemięźliwości w strzale nie potrzebowałem wzywać nawet surowego kodeksu smorzańskiego (którego byłem zawsze skrupulatnym obserwatorem), bo wieniec ósmaka był tak lichy, że mi nawet nie robił dystrakcyi w moich studyach. Już może od 20 minut korzystałem z tej rzadkiej sposobności podpatrzenia obrazka z życia głębokich naszych, górskich borów, gdy na polankę wyskoczyło jeszcze dwoje cieląt. Spojrzawszy jednak przez binokle, poznałem, że to była para sarn, koza i rogacz z dobrymi rogami. Mogłem doskonale strzelić do rogacza, ale nie chciałem psuć sobie sposobności do obserwowania jeleni zupełnie spokojnych i oddanych swoim codziennym domowym zajęciom. Słyszałem nieraz, że sarny nie znoszą się z jeleniami, tymczasem widziałem teraz, jak obydwa te gatunki zwierząt w najprzykładniejszej zgodzie zabawiają się na polance. Napatrzywszy się do syta, złamałem umyślnie suchą gałąź. W tej chwili wszystkie jelenie przestały żerować i bez ruchu poczęły spoglądać w moją stronę. Stara łania wysunęła się ku mnie, a nie mogąc rozpoznać dobrze postaci stojącej za krzakiem, poczęła zbliżać się, obchodzić mię w półkolu, z wyciągniętą szyją i rozstawionemi łyżkami. Wtem nagle zawróciła. Jakby na komendę zbiegły się do niej wszystkie sztuki, z bezładnej grupy utworzył się znowu szereg i w porządku, truchtem bez zbytniego pospiechu, znikały jedna za drugą w gąszczach Kontrowersu. Tylko sarny zostały i pierzchły dopiero w popłochu, w chwili, gdy już miałem strzelić do rogacza.

(C. d. n.)

Broń małokalibrowa w zastosowaniu do grubego zwierza

przez H. HEILANDA.

(Ciąg dalszy).

Nosorożec, zwierzę, które najwięcej nieszczęśliwych wypadków z myśliwymi ma na sumieniu, odznacza się przedewszystkiem twardem życiem i niesłychaną odpornością na strzały. Między myśliwymi polującymi w tropikach niema dwóch zdań, że nosorożec jest w stanie znieść niesłychaną ilość śmiertelnie nawet trafiających go pocisków, zanim do walki niezdolnym się stanie, przynajmniej w tym okresie czasu, jaki dla bezpieczeństwa myśliwego byłby wskazany.

Schillings, który w łowach na te gruboskórce posługiwał się sztućcem ogromnego kalibru. „z którego tylko bardzo mocny mężczyzna mógł strzelać“ powiada, że z dwóch luf raz z najbliższej mety wypalił do nosorożca, mimo to bestya rzuciła się w tej chwili na niego, a następnie znikła na zawsze z jego oczu. „Cała scena“ powiada Schillings, „odegrała się w tak szybkiem tempie, wywarła na mnie tak silne wrażenie, nieudolność mej broni okazała się tak jaskrawo, szybkość i zręczność grubego zwierza dała się poznać tak niespodzianie, że od tej chwili zwierz ten całkiem w innej rysuje się w mej duszy postaci od tej, w jakiej go sobie przedtem przez cały szereg lat przedstawiałem“. Na innem miejscu opowiada Schillings, że dwa nosorożce raz go długo ścigały, mimo że oba po dwa razy już na ziemi leżały po otrzymaniu sześciu kul. O twardem życiu tego potwora pisze i Niedieck. Powiada on, że po otrzymaniu sześciu dalszych kul zakończył raz życie strzelany przez niego nosorożec. Przy bliższem badaniu pokazało się, że wszystkie ośm pocisków tkwiły w łopatce, że mimo to jednak strzaskaną nie była. „Sądzę z tego“, kończy wyż wspomniany autor, „że pełne kule stalowe przebijają wprawdzie kości łopatkowe, ale ich nie druzgocą, tak że tylko te, które trafią w serce, w stos pacierzowy lub w mózg, są w stanie powalić tego zwierza“.

Z swego własnego doświadczenia przytaczam fakt, że raz byłem tak długo ścigany przez parę nosorożców, że po bitwie lufa mego Winchestra była rozżarzoną z gorąca, zwierzęta jednak ciężko postrzelone, jedno z nich dwa razy w głowę, w miejscu nie padły, lecz ucieczką się ratowały.

Trudność ubicia nosorożca polega na dwóch przyczynach. Pierwszą jest jego niezmiernie wydoskonalony zmysł powonienia, zapomocą którego myśliwego z daleka poczuje, pozostając sam dla niego do końca w krzakach niewidzialnym, drugą zaś jego twarde życie. Najgorszem dla myśliwego jest to, że zwykle do nosorożca tylko na sztych strzelać może, a wtedy zwierzę to wystawia na strzał mało powierzchni swego ciała, gdyż głowę niesie nie pionowo jak słoń, lecz poziomo, dzięki czemu powierzchnia jego czoła jest także poziomą i myśliwy mając przed sobą atakującego nosorożca, widzi z głowy jedynie róg i grube wargi. Jedyny strzał możliwy, ale najczęściej bezskuteczny, jest w piersi. Myśliwy więc starać się musi na bok uskoczyć i przemykającemu zwierzęciu posłać kulę o $^3/_4$ lub o $^1/_2$ płaszcza w głowę, mianowicie między oko a ucho, bliżej jednak tego ostatniego. Jest to też jedyny cel, jaki myśliwemu się przedstawia, gdy spoczywającego lub żerującego nosorożca zobaczy. Strzał w komorę jest mniej pewny a skuteczny tylko wtedy, jeżeli pocisk serce przeszyje. Najskuteczniejszym jednak jest strzał w krzyż, w praktyce jednak najtrudniejszym, a możliwym tylko, jeżeli się już za przebiegającym zwierzem strzela. Wtedy krzyż przedstawia się strzelającemu w całej rozciągłości i gdzie go tylko trafi, tam skutek jest śmiertelny, a zwierzę bezbronnem się staje. Strzał ten, do którego użytym powinien być pocisk $^3/_4$ płaszczykowy, jest na nosorożca najwięcej polecenia godnym.

Broń przy łowach na te gruboskórce powinna być tak nabitą, że pierwszy pocisk w magazynie powinien być kulą pełną, do ewentualnego strzału w łeb zwierzęcia, następnymi zaś pociskami mają być kule $^3/_4$ płaszczykowe, służące do strzałów w komorę lub krzyż. Kul półpłaszczykowych lub „dum dum“ nie należy używać wcale, bo te za prędko się płaszczą i grubych kości przebić nie są w stanie. Strzał w kolano jest w praktyce niemożliwy.

Pomówmy teraz o najgrubszym z kolei zwierzu łownym t. j. o bawole. Z afrykańskim gatunkiem nie miałem sposobności się spotkać, zresztą azyatyckie pod względem siły i dzikości w niczem tamtym nie ustępują. Najważniejszymi z nich są, bawoł wodny na Ceylonie, bardzo rzadki, tak zwany „bizon“ w dystrykcie Travancore w południowych Indyach i nieco od nich mniejszy „banteng“ na Jawie.

Dla wszystkich tych gatunków strzał w łopatkę jest najskuteczniejszy. Strzał na sztych może być danym tylko z konieczności i zwykle nie daje pomyślnego rezultatu. Strzał w czoło byłby w tym wypadku najskuteczniejszym, rzadko jednak daje się zastosować, chyba, gdy bawół żeruje, gdyż zwykle zwierz ten nosi głowę wysoko, aby rogi

w poziomym kierunku leżały, a w ten sposób czoło jego przedstawia dla strzału tak małą i skośną powierzchnię, że jest prawie nie do trafienia. Strzał w kark działa piorunująco, jest jednak także nie łatwy.

Wszystkie inne rodzaje strzałów są bezwarunkowo niebezpieczniejsze dla myśliwego, niż dla zwierza i dlatego wskazanem jest lepiej do zwierza nie strzelić, jak się nie ma sposobności do pewnego strzału, aniżeli narazić się na pewną szarżę tego najniebezpieczniejszego przeciwnika. Najpewniejsze na bawoły są pociski o całym płaszczu z ekspansą, długości $^1/_3$ kuli.

Wielkie drapieżce nie odróżniają się bardzo między sobą pod względem siły życiowej i dlatego na wszystkie ich rodzaje wystarczy jeden i ten sam system i kaliber sztućca i gatunek pocisków. Najlepszym bez kwestyi jest Winchester, z powodu swej szybkości w strzelaniu, co w spotkaniu z wielkim podzwrotnikowym kotem jest arcyważnym czynnikiem, jako pocisk służy zaś najlepiej kula ołowiana miękka, opancerzona do połowy płaszczykiem stalowym i na wzór kuli „dum dum“ wydrążona do $^1/_3$ lub $^1/_2$ swej długości. Chodzi tu mianowicie o to, aby pocisk nie przeszedł na wylot, lecz całą swą siłę zużył na pracę destrukcyjną w korpusie zwierza, co miejsca niema jeżeli pocisk przebija i część siły w sobie zatrzymuje. Tym rodzajem amunicyi drapieżcy wielkiego zabić nie trudno, gdyż przekonano się już pozytywnie, że wielki kot jest o wiele słabszym od wielu innych grubych zwierząt. Tygrys naprzykład staje się po średnio dobrze umieszczonej kuli w komorze, łopatce lub głowie zawsze nie zdolnym do walki, jeżeli się tylko wyż wskazanych pocisków używa, tak samo i po strzale przez uda, gdyż wszystkie muskuły ulegają zupełnemu zniszczeniu. Do lwa, według Schillingsa i Niedicka, zastosować się da taż sama reguła.

(Dok. nast.)

Wspomnienia przeszłości.

JESIENIĄ.

Przemokli, zmarznięci i źli wracaliśmy do naszego myśliwskiego szałasu, skleconego na prędce wśród nieprzebytych bagnisk i lasów, nad brzegiem bezimiennej rzeczki białoruskiego Polesia. I rzeczywiście było na co narzekać: oto, już drugą noc chodzę po manowcach w towarzystwie leśnika Nielubowicza, biegłego znawcy życia i zwyczajów zwierzęcych, a dotąd nie tylko żaden łoś nam się nie pokazał, lecz nawet nie słyszeliśmy jego głosu. Tymczasem jesienne przymrozki już za pasem, a wraz z nimi przerwie się ruja olbrzyma naszych lasów i trzeba będzie wracać do domu z pustemi rękami i nosem na kwintę spuszczonym. Na domiar złego rozpoczął się drobny i chłodny deszczyk, prawdziwy jesienny „kapuśniaczek“. Kroczyłem za Nielubowiczem, który napróżno starał się ochronić od wilgoci zamek swej sążnistej pistonówki, i wymyślałem w duchu na wstrętną pogodę, co chwila zapadając się w rozmokły, bagnisty grunt. Minąwszy kilka nigdy nie koszonych łączek, wyszliśmy na niewielką leśną polanę, na skraju której pod rozłożystym jesionem stał nasz szałas.

Z wielkim trudem rozpaliwszy ogień, zabraliśmy się do gotowania wody na herbatę i do suszenia naszego przemokłego nawskróś ubrania. Dokoła zalegała posępna cisza, przerywana monotonnym szelestem spadających na suche liście kropli deszczowych; ptaki nawet zamilkły, tylko od czasu do czasu zdaleka dolatywały tęskne, przeciągłe nawoływania czarnej żołny. Gorąca herbata trochę nas pokrzepiła, raźniej jakoś się zrobiło na duszy i błysnął promyk nadziei, że może do wieczora deszcz przejdzie. Nieprzespana noc dawała się we znaki, to też dorzuciwszy do ognia kilka większych szczap i okręciwszy się w ciepłe kołdry, zasnęliśmy snem sprawiedliwych.

Nadzieja nas nie zawiodła, bo kiedy przed wieczorem obudziłem się i wyszedłem z szałasu, o mało nie krzyknąłem z radości; nademną roztaczał się wspaniały, blady błękit jesiennego nieba, resztki poszarpanych chmur ginęły za horyzontem i wszystko zapowiadało noc pogodną i cichą. W promieniach zachodzącego słońca paliły się czerwonym i złotym blaskiem potężne kopuły kilku górujących nad lasem stuletnich osik; na ich tle jaskrawo rysowały się kontury zielonego jeszcze dębu i blado-żółtych brzóz, których smukłe pnie na kształt białej kolumnady, przezierały gdzieniegdzie przez zwartą ścianę lasu. Wszystko to tchnęło smętnym spokojem, właściwym jesieni, tylko czerniejący w oddali sosnowy bór nie pozbył się swego ponurego wyglądu. Z błękitnego nieba płynęły jakieś dziwne tony: to klucz gęsi gardłowym głosem żegnał swą chłodną ojczyznę.

Po krótkiej naradzie z Nielubowiczem, postanowiliśmy udać się o kilka wiorst dalej w miejscowość, znaną z obfitości łosi. Najwygodniejszą, choć nie najkrótszą drogą była rzeczka, wijąca się wśród lasów, nad brzegiem której obozowaliśmy, to też nie tracąc czasu, odwiązaliśmy od przybrzeżnej olchy „duszehubkę“ (wąskie i długie czółno, zrobione z jednego pnia) i ulokowawszy się w niej, popłynęliśmy z prądem, bardzo nieznacznym w tem miejscu.

Jeszcze zorza wieczorna nie zgasła, gdy na wschodzie niebo poczerwieniało i z za dalekiego lasu wypłynął księżyc, nadając dziwaczne kształty podnoszącym się z wody oparom. Najlżejszy powiew wiatru nie marszczył gładkiej powierzchni rzeki; w ciszy nocnej słychać było tylko dyskretne bulkotanie, miarowo opuszczanego do wody wiosła i szelest wodorostów, ocierających się o dno „duszehubki“. Nagle jakiś wielki przedmiot, oddzielił się od brzegu i w mgnieniu oka z pluskiem znikł pod wodą, roztaczając dokoła połyskujące w świetle księżycowem kręgi: to bóbr, spłoszony nagłem zjawieniem się ludzi w swem tajemniczem ustroniu, przerwał pilną robotę podcinania drzewa i skrył się w swym żywiole. Opodal, koło samego brzegu widać jego chatkę, której czubek wystaje z wody w postaci stożka, utworzonego z bezładnie narzucanych kawałków drzewa. Mijamy chatkę i wjeżdżamy w rodzaj wąskiego korytarza: wysokie olchy, rosnące na obydwóch brzegach, stykają się ze sobą górnymi konarami, tworząc coś na kształt sklepienia, przez które z trudem przeciska się mdłe światło księżyca; droga staje się uciążliwszą, bo co chwila trzeba wymijać zwalone pnie drzew i sterczące z wody korzenie.

Lecz co to za krótki dźwięk przeszył nagle nieruchome powietrze? Jakby czyjeś potężne płuca dmuchnęły w pustą beczkę. Posłyszał to i Nielubowicz, bo przestał wiosłować i wsłuchiwał się w ciszę nocną.

Po paru minutach dźwięk powtórzył się wyraźniej; choć dolatywał on z bardzo daleka, jednak teraz wiedzieliśmy już napewno, że to łoś wyzywa swych przeciwników na pojedynek. „To aż w Prodażyszczu“, odezwał się Nielubowicz: „niedaleko Morockich polanek“. Po kilku silnych uderzeniach wiosła, „duszehubka“ z suchym sze-

lestem roztrąciła przybrzeżne trzciny i wryła się w błotnisty grunt. Wyciągnęliśmy do połowy na brzeg nasz statek i wydostawszy się z podmokłej olszyny, okalającej rzekę, wstąpiliśmy do suchego lasu. Ciemno tu było, wilgotno i unosiła się nieprzyjemna woń jakichś grzybów; splątane korony olbrzymich klonów, wiązów i grabów prawie nie przepuszczały księżycowego światła; gdzieniegdzie ciemną piramidą strzelał w górę masywny świerk. Postępowałem za Nielubowiczem i podziwiałem jego rysie oczy i zmysł oryentacyjny: szedł on pewnym krokiem człowieka, obznajomionego z lasem, i ani razu nie zboczył z krętej drożyny, wydeptanej nie tyle przez ludzi, co przez zwierzynę, zamieszkującą te okolice. Wreszcie las począł rzednieć, zrobiło się widniej i ścieżka wyprowadziła nas na czyste miejsce; z prawej strony widać było niewielką, okrągłą łączkę, na środku której stał stóg siana, poza sobą i z lewej strony mieliśmy las, a przed nami ciągnęło się obszerne błoto, zrzadka porosłe krzakami i karłowatemi brzózkami. Za błotem, znów czerniał las, z którego dolatywał do nas trzask łamanych gałęzi: to łoś, nie widząc przeciwnika, w przystępie wściekłości walił rogami w pnie drzew i druzgotał krzewy, trafiające mu się po drodze.

Schowaliśmy się w gęstych krzakach i leśnik, wyjąwszy z przewieszonego przez ramię płóciennego worka ogromną trąbę, zrobioną z kory brzozowej, dmuchnął w nią parę razy, naśladując dźwięki, któreśmy słyszeli jeszcze z rzeki. Na chwilę zapanowała cisza, lecz wnet z przeciwległego lasu polały się głuche, urywane tony, niby jęki i stękania konającego, lecz nie ból słychać w nich było, a gniew i pragnienie walki. Gdy umilkły one, Nielubowicz zączął stękać przez trąbę, łamiąc przytem z głośnym trzaskiem naokoło siebie gałęzie. Łoś znów odpowiedział, już znacznie bliżej, przyczem stękanie zaczęło przechodzić w jakieś drgające nuty, jak gdyby beczała olbrzymia owca. „Stara bestya: poznaję to po głosie“, szepnął leśnik, wzmagając temi słowami mimowolne drżenie, które mną owładnęło przy pierwszych odgłosach wabia.

Nareszcie między kilku bielejącemi brzózkami w odległości jakich stu kroków od nas ukazała się ciemna sylwetka łosia. Stał on przodem zwrócony do nas, i strzał na taką odległość w nocy był bardzo niepewnym, postanowiłem więc czekać, aż podejdzie bliżej. Łoś postał chwilę nieruchomo, i nagle głośny ryk rozdarł ciszę nocną. „Źle! poczuł nas“, rozległ się ledwie dosłyszalny szept Nielubowicza.

Odrazu straciłem nadzieję pomyślnego wyniku polowania; łoś ryczy tylko wtedy, gdy obawia się zasadzki lub poczuje obecność człowieka. Przestaje on wtedy stękać, staje się bardzo ostrożnym i przywabić go bywa prawie niepodobieństwem. Ryknąwszy jeszcze kilka razy, łoś zamikł i znikł za krzakami, z odgłosu jednak jego kroków poznaliśmy, że okrąża on podejrzane miejsce, zamierzając widocznie zajść z tyłu i ostatecznie przekonać się o grożącem niebezpieczeństwie. Od czasu do czasu jednostajne mlaskanie, powodowane wyciąganiem racic z błota, milkło i słychać było wtedy, jak łoś wciąga nozdrzami powietrze, chcąc poczuć wroga.

Trwało to już bardzo długo, całe godziny, jak mi się zdawało. Nogi skurczone, w niewygodniej pozie, dawno już zdrętwiały, prawe kolano pod ciężarem ciała coraz bardziej zagłębiało się w bagnistym gruncie, i woda zimnym strumieniem zaczynała dostawać się za cholewę, nie śmiałem jednak zmienić położenia w obawie spłoszenia ostrożnego zwierzęcia. Nareszcie za najbliższą kępą zarośli zamajaczyły ogromne „łopaty“, a za niemi wysunęło się potężne cielsko łosia. Nie pamiętam, jak przycisnąłem ekspres do ramienia, wycelowałem i targnąłem za cyngiel. Krótki, suchy huk strzału, kilkakrotnie powtórzony przez echo, zamarł gdzieś na krańcach lasów; gęsty obłok białego dymu zawisł nad ziemią, zasłaniając mi łosia przed oczami, lecz tętent uciekającego kolosa powiadomił mię o wszyskiem. „Pudło!“ przemknęła mi przez głowę piekąca myśl i jednocześnie stanął przed memi oczami posępny powrót do domu i wstyd, z jakim będę odpowiadał domownikom na zapytanie o rezultacie wyprawy. Nielubowicz z wyrzutem spoglądał na mnie, melancholijnie skrobiąc się za uchem. Wyprostowałem zbolałe członki i i ze zwieszoną głową powlokłem się w tę stronę, gdzie pomknął łoś; w głębi duszy żywiłem jeszcze iskierkę nadziei, że może kula go zaczepiła. Na łączce, w odległości kilkunastu kroków od stogu siana zobaczyłem jakiś ciemny przedmiot, którego wpierw tam nie było: gdy podszedłem bliżej, przedmiot ten okazał się nieżywym już łosiem; pod przednią łopatką czerniała niewielka ranka, z której wąską strugą sączyła się krew; z otwartego pyska buchały kłęby pary. Przejście od rozpaczy do gwałtownej radości było tak wielkie, że gdyby nie obecność leśnika, wykonałbym nad zabitym łosiem coś na kształt wojennego tańca Indyan amerykańskich...

Tak samo, jak dnia poprzedniego, wracaliśmy do szałasu w niepewnych blaskach szarego poranku, tak samo zaczynał mżyć drobny jesienny deszczyk, tak samo nawet gdzieś za rzeką jęczała czarna żołna, lecz wszystko to zupełnie inne, niż poprzednio, wywierało na mnie wrażenie, wesoło gawędziłem z rozpromienionym i zmienionym do niepoznania Nielubowiczem, i ogromne szczęście, jakie może dać tylko obcowanie z naturą, rozsadzało mi piersi. *J. W.*

Korespondencye.

Hadle, 19. grudnia 1906.

Dnia 16. b. m. pospieszny pociąg krakowski wiózł czterech z pod ciemnej gwiazdy Mazurów, wezwanych przez p. Władysława Komorowskiego na dwudniowe łowy do Starego Gwoźdźca. Z sąsiadów stawiło się czterech, więc następnego ranka 9 strzelb zaczęło siać śmiercionośne śruty między gęsto pomykającą zwierzynę.

Snać jednak myśliwi nie zasłużyli sobie u Św. Huberta na względy, gdyż przez oba prawie dni padał naprzemian to deszcz to śnieg, który niewątpliwie przyczyczynił się do pogorszenia rezultatu polowania. Rozkład z dwóch dni, mimo niefortunnej aury: 445 zajęcy, 21 rogaczy, 17 lisów i 10 bażantów, świadczy niewątpliwie o ogromnej ilości zwierzyny w Gwoźdźcu, którą gospodarz w przeciągu lat dziesiątka z miernego zwierzostanu podniósł do tej niebywałej ilości, że teraz polowanie w Gwoździcu do pierwszych w Galicyi śmiało zaliczyć można.

Piotr Łastowiecki.

Rożniatów, 28. grudnia.

Budzę się po raz szósty i zapaliwszy świecę patrzę na zegarek. Dopiero godzina szósta według słońca, punkt zborny o $8\frac{1}{2}$ czas kolejowy o dwa kilometry od łóżka mego, na którem prawie bezsennie noc spędziłem. Nawet

wśród krów faworytek czas przed polowaniem prędko mi nie schodzi, ponieważ jednak wszystko na tym świecie ma swój koniec, skończyło się i oczekiwanie i jadę do Zarzecza, do hrabstwa Tadeuszowstwa Dzieduszyckich, gdzie mamy na wilię zapolować.

Strzelb siedm, miotów sześć, ze względu na to, że niektórzy z myśliwych na wieczerzę parę mil jeszcze jechać muszą, polowanie skończy się o trzeciej. Zaczynamy o dziesiątej i zaraz w gaju rożniatowskim grzmią strzały, snują się po liniach dymy, co chwila rudle sarn przechodzą, jak woda płyną kochane szaraki a chwilami długa sylwetka lisa jak cień przemknie i ginie w białej ścianie zapustu.

Jużto przyznać każdy musi, kto zna knieję w Zarzeczu, że polowanie w niej jest przedsmakiem tego, co św. Hubert dla gorliwych swych wyznawców przygotował na tamtym świecie.

Polowanie doskonale prowadzone przez hrabiego Pawła, dowodem czego wieczorny rozkład 3 lisy i 124 zajęcy. Sarn w każdym miocie widzieliśmy dużo, ale jak w każdej kniei, gdzie system łowiecki dobrze zorganizowany, rogacze strzela się tylko z rogami. Sposób to doskonały, bo dopiero w lecie wiadomo co się strzela, a poznawanie rogaczy w zimie, to dobra przyjemność dla gimnazyalisty, kto ma bowiem sposobność częstszego polowania i nie najgorszy wzrok, temu trudności żadnej nie sprawia poznanie rogacza, nawet po talerzu.

Strzał zaś śrutem do rogacza stawiam na równi z ładnym strzałem do chróściela i zdaniem mojem rogacza powinno się strzelać tylko kulą.

Ja szczególniejsze spotkanie miałem na tem polowaniu a ponieważ dosyć dobrze je wyzyskałem, zatem z przepełnionem wdzięcznością sercem dla młodego hrabiego, do rodziców na wieczerzę jechałem, wdzięczny za najładniejsze wiązanie, jakie mogłem otrzymać w dniu mego patrona.

Adam Łastowiecki.

Ł o b o z e w 30-go grudnia 1906,

Dnia 29-go grudnia, wyszedłem z psem na polowanie. Brodząc po pas w śniegu, doszedłem do parowu gęsto krzakami zarośniętego, spodziewając się tu znaleść zająca. Lecz zamiast zająca, porwał się z potoku jakiś długodziób. Leciał ciężko i wolno, tak że nie mogłem poznać ptaka, mimoto jednak strzeliłem i choć strzelba była dwójką nabita, ptak spadł. Z wielkim trudem, dzięki tylko znakomitemu węchowi psa, znalazłem w głębokim śniegu ptaka i z ogromnem zdziwieniem zobaczyłem, że jest to kszyk. Kszyk ten zdaje się od dłuższego czasu przebywał, ponieważ kilka dni temu widziałem go w sąsiednim parowie, ale strzelić do niego nie mogłem, bo był za daleko na strzał. Wypadek ten jest ciekawy, gdyż u nas w powiecie liskim, kszyk nawet w lecie jest rzadkością, tak że polując całe lato, nigdzie go nie spotkałem.

Jerzy Janowski.

R z e s z ó w 30. grudnia 1906.

Bieżący rok myśliwski zapowiadał się pomimo ciągłych opadów atmosferycznych i licznych wylewów, pod względem zwierzostanu, a szczególniej zajęcy, wcale dobrze. Kuropatw było wprawdzie niewiele, zajęcy zato widywało się jesienią bardzo dużo.

Ciągłe odwilże i brak zupełny mrozu i śniegu sprawiły, że się serya polowań później znacznie zaczęła, każdy czekał z polowaniem na „śnieg“. No i doczekaliśmy się go nareszcie w takiej ilości, że teraz skutkiem śniegu polowania albo zupełnie się nie udają, lub też odłożone być muszą. Do gorszego rezultatu polowań przyczynia się w znacznej mierze trudność zebrania odpowiedniej ilości nagonki. Kmiotkowie w okolicy tutejszej sportowi temu niechętnie się oddają i wolą, czyto ze względów praktycznych, vulgo szanowania butów, czy też z powodów bardziej idealnej natury pozostać w domu „za piecem“. Bo przyzna chyba każdy bezstronny, że nie licuje to z godnością powszechnego, tajnego i t. d. wyborcy, by innemu takiemu samemu jak on wyborcy zające naganiał. Jak polować, to już chyba samemu, a teraz przy olbrzymich masach śniegu można, nie strzelając nawet, bardzo mieć ładny rozkład kuropatw naprzykład, które usłużny wyborca w. m. w miasteczku najchętniej na brzęczącą monetę zamieni. A przytem i butów się nie zniszczy i godność wyborcza uratowana! Poniżej podaję rezultaty kilku polowań w okolicy tutejszej, w których mi było danem uczestniczyć.

14. l i s t o p a d a w Tyczynie u księstwa Januszostwa Radziwiłłów. W lasku 400 morgowym padło w 8 strzelb 77 zajęcy, 2 lisy, 2 kuropatwy i 1 jastrząb. Rogaczy nie strzelano. Polowanie, jak zawsze w Tyczynie, świetnie zorganizowane i prowadzone z matematyczną prawie dokładnością.

19. l i s t o p a d a w Babicy u Pani Aleksandry Wiktorowej. W 8 strzelb zabiliśmy lisa, 30 zajęcy i 1 kuropatwę. Rogaczy nie strzelano, bażanty strzelano, ale bez rezultatu,

13. g r u d n i a w Bratkowicach u Pana Adama Wiktora. W 9 strzelb padło: 1 lis, 1 cietrzew, 26 zajęcy i 6 rogaczy. Te ostatnie strzelano tylko kulami. Myśliwych kilku a nagonki bardzo wiele nie dopisało, gdyż zamiast zamówionych 100 zaledwie 40 wyborców wyszło na łowy. Znam las w Bratkowicach od dłuższego lat szeregu i zdumiony byłem, co się z tego wyniszczonego i pustego prawie, z wyjątkiem lisów, rewiru zrobiło. W lecie tego roku odstrzelono tam na podjazd 20 silnych rogaczy, a pomimo tego na polowaniu w każdym miocie widzieliśmy po kilkanaście sztuk sarn, a w każdym rudlu były silne rogacze. Niewielki rozkład zajęcy, za małej ilości nagonki i myśliwych przypisać należy i temu, że spodziewając się dzików braliśmy mioty w głębi lasu położone.

W każdym razie i ze strony gospodarza za podniesienie zwierzostanu i z naszej za ładne i doskonale prowadzone polowanie należy się serdeczna podzięka p. Szczepanowi Jabłońskiemu, administratorowi Bratkowic.

15. g r u d n i a w Malawie u pana Edmunda Rylskiego. Strzelb 12, rozkład 71 zajęcy. Rogaczy nie strzelano. Nagonki zamiast 150 mieliśmy 48 i temu wyłącznie zły bardzo, jak na ten doskonały rewir, rezultat przypisać należy. Przy odpowiedniej ilości nagonki mielibyśmy conajmniej podwójny rozkład.

17. i 18. g r u d n i a u Pana Aleksandra Przedrzymirskiego w Hyżnem. Strzelb 6, rozkład 33 zające i 1 jastrząb. Rogaczy nie strzelano. Śnieg po pas i okiść szalona sprawiły, że najlepszych miotów brać nie mogliśmy i drugiego dnia polowanie przerwać musieliśmy.

28. i 29. g r u d n i a u Pani Aleksandry Wiktorowej w Czudcu. Pierwszego dnia strzelb 9, rozkład 41 zajęcy. Drugiego dnia strzelb 7, trzecia zaledwie część zamówionej nagonki, przytem silna zadymka i śnieg po pas. Rozkład

20 zajęcy. Rogaczy nie strzelano. Polowanie tak w Babicy jak i w Czudcu świetnie zorganizowane i prowadzone, przynosi zaszczyt gospodarzowi, któremu się pomimo lat młodych w zupełności miano doskonałego myśliwego należy. Zwierzostan też z roku na rok lepszy, a i sprowadzone w roku zeszłym bażanty świetnie się zaaklimatyzowały i znacznie się rozmnożyły. Na pochwałę okolicy tutejszej dodać muszę, że ostatnimi czasy, szczególniej ze strony młodszych myśliwych i posiadaczy polowań wiele już bardzo dla podniesienia zwierzostanu zrobiono. Tępienie szkodników przez straż, naturalnie za odpowiedniem strzałowem, sprowadzanie żywych bażantów i kuropatw i t. p. do rzadkości Bogu dzięki w stronach naszych nie należą. Smutno tylko pomyśleć, że może to praca na krótką bardzo metę, bo ponoś w nowej ustawie łowieckiej i zając do szkodników ma być zaliczonym! Ale nie traćmy jeszcze nadziei.

Rzeczą, mojem zdaniem bardzo naśladowania godną, jest niestrzelanie rogaczy w zimie, względnie strzelanie kulami wyłącznie. Bo przecież strzał śrutem do stojącego na 20 kroków na połeć rogacza i to bez rogów, myśliwemu przyjemności robić chyba nie może!

W. O.

Zielona p. Chocimierz 31. grudnia 1906.

Minął już dawno sezon polowań letnich, a nie pisałem sprawozdań, gdyż naprawdę niema o czem pisać, łowiectwo zamiast podnosić się, co rok niżej upada — kilku prawdziwych miłośników zwierzyny, pomimo największej pieczy, nic nie może zrobić, by podnieść stan zwierząt łownych!

Pomimo słotnej wiosny, stan zajęcy dość zadowalający, a gdzie choćby jaka taka opieka, nawet bardzo dobry. Kuropatw dużo, ale znacznie lepszy byłby stan tychże, gdyby nie wiosenne słoty, które pierwsze jaja, zalały, przeziębiły, dopiero drugi lęg dał rezultaty. We wrześniu polując, spotykałem kuropatwy, prawie że w „pałkach“, dlatego prawie nic nie zabiłem. Przepiórek nic nie było — za to kszyków znaczna ilość.

Doczekaliśmy się zimy ze śniegiem, jakiej dawno nie było — dla myśliwych to wielka przyjemność, ale ciężkie dni nastały dla zajęcy i kuropatw! „Rozkłady“ będą zapewne w b. sezonie zimowym znaczniejsze niż poprzednich lat — nie zapominajmy jednak, że chcąc mieć zwierzynę, trzeba ją karmić, a drapieżniki tępić! podawać karmę tak w lesie jak w polu, nim zając lub kuropatwa wygrzebie sobie tej trawy z pod śniegu, bo z głodu zginie.

Podaję poniżej wynik polowań, w których udział brałem w b. r.

15. grudnia w Podhorcach, majątku P. Karola Soboty, Prezesa Rady pow. w Kałuszu, pod kierownictwem brata właściciela, zabiliśmy: 1 kozła i 26 zajęcy w 7 strzelb. Stan zwierzyny był piękny; z powodu świeżo upadłego śniegu, zające nie wychodziły na linię strzelców, wracały na nagonkę;

18. grudnia w Kurzanach, majątku pni M. Wohlfartowej, na rozkładzie znalazło się mniej jak po strzałach spodziewać się należało: 28 zajęcy. Stan zwierzyny bardzo dobry, z powodu wielkiego świeżego śniegu, zające w miejscu siedziały, sarny prawie w każdym miocie były, ale flanką wyszły, albo na nagonkę wracały;

20. grudnia w majątku JE. Zalewskiego w Krzywem, pow. Brzeżany, na zaproszenie p. Dra S. Zwolskiego przybyliśmy, a pod kierownictwem P. Stankowicza, mieliśmy na rozkładzie: kozła i 34 zajęcy.

Stan zwierzyny przepiękny, w czem zasługa P. Stankowicza. Na uwagę zasługuje, że strzałów oddano tylko 65! Strzelb 9.

29. grudnia. Prawdziwą biesiadę myśliwską mieliśmy w Łuce, majątku P. Radcy Dworu St. Jägermana — gdzie P. Leon Starkiewicz, swą pieczołowitością stan zwierzyny podniósł, ochraniając ją przed drapieżnikami, podając karmę. Zaprowadził bażantarnię nie szczędząc trudów i kosztów, nie zrażając się, że najbliżsi sąsiedzi tępią zwierzynę łowną, a drapieżnikom przepuszczają.

Rozkład w 8 strzelb: dzik odyniec, bardzo piękny okaz, 3 kozły, 46 zajęcy i 2 bażanty. Ilości strzałów nie podaję z wiadomych uczestnikom powodów.

W. S.

Lwów, styczniu 1907.

W Oskrzesińcach u p. Stefana Tustanowskiego, odbyło się w dniach 28. i 29. grudnia z. r. polowanie wśród zadymki i w ogromnych śniegach. Padły: 1 dzik, 1 lis, 2 rogacze i 76 zajęcy. Dziki mieliśmy w 5 miotach, raz tylko jednak dwa z nich wyszły na linię strzelców. Zato jaka trzydziestka szaraków dzięki obecności grubej zwierzyny uratowała swe życie.

Albert Mniszek.



Od Redakcyi.

W odpowiedzi na licznie odbierane skargi z powodu nieotrzymywania „Łowca“, oznajmiamy naszym Szan. Czytelnikom, że wysyłamy nasze pismo jak najregularniej, i że za jakiekolwiek opóźniania lub niedoręczania przesyłki „Łowca“ odpowiedzialności brać nie możemy. Nieotrzymane numery należy reklamować we właściwym urzędzie pocztowym.

W obec licznie otrzymywanych zapytań od Szan. naszych współpracowników o los ich korespondencyi, donosimy im, że cenne ich sprawozdania z polowań umieszczane będą kolejno w numerach w miarę, jak nam je nadsyłają. Co do innych artykułów, to redakcya zastrzega sobie wolny wybór co do numeru i czasu, w którym umieszczenie ich za stosowne uzna. Obecnie w tece naszej znajdują się następujące korespondencye i artykuły, które wszystkie wydrukowane zostaną: „Polowanie w Siedmiogrodzie“ p. K. „Dla myśliwego nie ma niemożliwego strzału“ p. Cz. „Na człowieka“ p. S. Z Uherec. Z Batiatycz (dwie kor.). „Z Żurawna“. „Myśliwy a strzelec“. „Wspomnienia ze Smorza“ (dok.). „Z Dolnego“. „Z Monasterca“. „Z wycieczki na Wołyń“. „Z Sosnowa“. „Z Żydaczowa“ i kor. podpisana J. C.

Artykułu p. t. „W żywotnej sprawie“ niewiadomego nam autora drukować nie będziemy.

Do niniejszego numeru „Łowca“ dołączony jest cennik nasion leśnych firmy: Dom rolniczy Ernest Bahlsen w Krakowie.

Drobne ogłoszenia i inseraty.

HERBARZ Niesieckiego, z roku 1727, w oryginalnej oprawie, dobrze zachowany — sprzedam. Wiadomość: **T. Kuźmiński**, Lwów, ulica Kopernika l. 5, drukarnia.

Żywe, silne, zdrowe **Zające**, **kuropatwy, bażanty, sarny, puhacze, Tinamous, króliki**, wiele tysięcy sztuk, z gwarancyą dostawy żywych ma tanio do sprzedania, także jaja wylęgowe różnych gatunków bażantów dostarczy na maj i czerwiec. **F. HORACEK**, handel żywych zwierząt, Martinitz-Starkenbach (Czechy).

Zarząd dóbr JW. Michała hr. Baworowskiego w Sorocku p. loco poszukuje żywego puhacza.

Poszukuję leśniczego rewirowego, biegłego w łowiectwie i hodowli zwierzyny, dobrze obznajomionego z administracyą rewiru, kulturą i ochroną lasu. Zgłoszenia pod adresem: **Madejski, Parhacz.**

Leśnik praktycznie i teoretycznie wykształcony poszukuje posady. Liberacki, Witków nowy.

Poszukuję na odstrzał w miesiącach letnich 15 do 20 silnych rogaczy w Galicyi lub na Bukowinie. Oferty przyjmuje Redakcya „Łowca".

Dzikarze! 2 sfory psów — w każdej jeden tropowiec — ułożone wyłącznie na dziki, ma do zbycia **Stefan Biliński**, Słoboda leśna obok Kołomyi. Cena po 100 zł. za sforę.

Jubiler

JAN JARZYNA

poleca **wyroby złote i srebrne.**

WYBÓR ZNACZNY. — CENY UMIARKOWANE.

Lwów, hotel Europejski, plac Maryacki l. 4.

Ważne dla P. T. Właścicieli polowań!

HANDEL ZWIERZYNY

P. ST. CHRYPIAK

we Lwowie, ulica Zyblikiewicza l. 17.

Zobowiązuję się zakupywać wszelkie partye zabitej zwierzyny **na miejscu polowania i w każdym czasie** (bez względu na odwilż). Zastrzega sobie dostawę do najbliższej stacyi kolejowej. Na telegraficzne zawiadomienie o mającem nastąpić większem polowaniu (60 do 70 zajęcy), gotów jestem osobiście udać się na miejsce celem odebrania zwierzyny i przepilnowania jej należytego opakowania, wobec czego odpada właścicielowi kłopot z nadaniem zwierzyny na kolej.

Ceny ofiaruję następujące:

Za 1 kg. dzika wagi do 40 kg.	K. —·50	Za jarząbka 1 sztukę . . .	K. 2·—
„ 1 „ „ „ „ 70 „	„ —·30	„ słonkę 1 sztukę	„ 2·—
„ wyższej	„ —·20	„ kuropatwę 1 sztukę . . .	„ 1·—
„ 1 „ rogacza	„ —·80	„ cietrzewia 1 sztukę . . .	„ 2·40
„ 1 sztukę zająca	„ 2·—	„ kaczkę krzyżówkę 1 sztukę	„ 1·—
„ 1 parę bażantów	„ 4·80	„ kaczkę cyrankę 1 sztukę .	„ —·80

HEVEAX

nieprzemakalne smarowidło na skórę

utrzymuje obuwie miękkiem, wytrzymałem i pod gwarancyą nieprzemakalnem. Cena wraz z pędzlem 3 K. Kto pośle 3 K. 50 h., otrzyma przesyłkę ofrankowaną

Laboratorium Kubany w Sisak

(KROACYA)

Wiele listów pochwalnych od wysokich osobistości i osób fachowych.

Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń urzędników prywatnych

(Lwów, Hotel George'a.)

oparte ściśle na wzajemności, oraz na zasadach asekuracyjno-technicznych a zarazem o celach dobroczynnych — przyjmuje **ubezpieczenia pensyjne** a w szczególności ubezpiecza za jedną składką **renty na wypadek nieudolności do pracy, renty na starość, renty wdowie, pensye sieroce i ryczałty pogrzebowe** — pod bardzo korzystnymi warunkami.

Ubezpieczać się mogą urzędnicy prywatni wszelkich kategoryi, oraz osoby zarobkujące samoistnie lub w tak zwanych zawodach wolnych, bez różnicy płci.

Szczególne korzyści:

Po trzech latach trwania ubezpieczenia jest polica nieprzepadalna, t. j. Towarzystwo zwraca po tymże czasie na żądanie ¾ składek netto bez odsetków.

Po 5 latach należenia nabywa ubezpieczony prawa do renty na wypadek nieudolności do pracy (renty inwalidy) w wysokości 35% ubezpieczonej płacy służbowej; renta ta przez dalsze należenie wzrasta aż do 100% jako renta na starość. Na wypadek śmierci ubezpieczonego ma prawo (bez osobnych opłat) wdowa do renty wdowiej w wysokości 50% renty męża, a sieroty do pensyi sierocych w wysokości 8—24% ubezpieczonej płacy ojca.

Renta na starość płatną jest bezwzględnie po 35 latach należenia lub po ukończeniu 65 lat życia.

Nadto ma każdy członek ubezpieczony, każdy emeryt lub wdowa prawo do zapomóg doraźnych w wypadku choroby, braku posady itd., wszyscy zaś członkowie i ich rodziny mogą korzystać z licznych fundacyi stypendyjnych i posagowych oraz z bursy Towarzystwa. Członków poleca Towarzystwo bezpłatnie na posady.

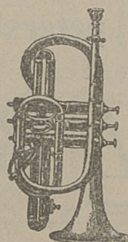
Prospekty szczegółowe wysyła i wszelkich wyjaśnień udziela na żądanie Wydział centralny Towarzystwa **we Lwowie, Hotel George'a.**

Franciszek Niewczyk

PIERWSZA KRAJOWA

FABRYKA INSTRUMENTÓW

we Lwowie, ul. Czarneckiego l. 10.



Poleca własnego wyrobu wszelkie instrumenta orkiestrowe, smyczkowe i dęte, najrozmaitsze przybory do instrumentów, **trąbki sygnałowe, myśliwskie** i dla straży ogniowej, **gramofony, pozytywki** samogrające i t. d. po cenach najniższych.

Cenniki na żądanie gratis i franco.



Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. — Redaktor odpowiedzialny: **Albert Mniszek.**